

MYSZLICIEL

kwartalnik interdyscyplinarny KNS MISH

Nr 1/październik 2010



Drodzy Czytelnicy!



 Spis treści:

Dojrzewanie Po Drugiej Stronie Lustra	3
„Inne światy” nad Wisłą	5
Raj dla podniebienia – tylko JEDEN	6
Świat wyleczyć wyobraźnią.	7
„My name is Bob” or rather Jimi the Second	8
Fałszywa dekompozycja	10
Norwid – realista czy marzyciel? O „Assuncie” jako romantycznym i filozoficznym poemacie o miłości.	12
Memento?	16
Studia idą nam śpiewająco!	17
Etyka wystarczy	22

10 lat temu za sprawą ludzi podejmujących decyzje na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, powstało Kolegium MISH. W zamyśle miała to być bezpieczna przystań dla ludzi o szerokich horyzontach, którzy dzięki niej mieli otrzymać możliwość rozwoju swoich pasji i zainteresowań. MISH określany przez złośliwców wylęgarnią geniuszy, wkrótce wprowadził istny ferment w życie uniwersyteckie.

Myszy rozbiegły się po uniwersyteckich korytarzach, szerząc popłoch i wzbudzając zdziwienie. Do dziś bowiem każda Mysz usłyszeć może pytanie: Co to jest ten MISH? Wstęp redaktor naczelnej nie jest bynajmniej odpowiednim miejscem na odpowiedź. Dla nieświadomych podajemy adres internetowy do karbnicy wiedzy na temat kulowskiego MISHu: www.kul.pl/mish

Dziś, 10 lat później, mysz wychodzi ze swej przytulnej norki w podziemiach norwidowskiego Collegium i prezentuje dumnie swe prawdziwe oblicze: MYSZLICIELA. Kim jest Myszliciel? Miejmy nadzieję, że odpowiedź na to pytanie czytelnicy odnajdą w niniejszym piśmie.

Mówiąc całkowicie poważnie, naszą ideą nie jest bynajmniej próba pokazania „czegoś nowego”, nie mamy też zamiaru uprawiać pisania dla pisania, wylewając przy tym potoki łez nad wycinaniem lasów w Amazońskiej Puszczy. Co 3 miesiące prezentować będziemy pewien temat i różne, bo przecież interdyscyplinarne podejścia do owego tematu.

Więc dziś spróbujemy dociec, jak jest po drugiej stronie lustra. Jak często zdarza nam się wypowiadać opinie nie mające podstaw w rzeczywistości, jak często się mylimy i dlaczego nie szukamy głębiej, nie patrzymy, co jest po drugiej stronie lustra? Niech więc pierwszej odśłonie czasopisma „Myszliciel” przyświeca hasło rozprawy z fałszem.

Może się uda.

Z pozdrowieniami,
Redaktor naczelna,
Klaudia K. Krupa

DR ANNA GŁĄB

DOJRZEWANIE PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

Kiedy w drugiej klasie szkoły podstawowej po raz pierwszy przeczytałam Alicję w Krainie Czarów, lektura raczej mnie odstraszyła niż zainspirowała. Wydała mi się nadęta i usztywniona dziwnie brzmiącymi, często niezupełnie zrozumiałymi konwersacjami głównej bohaterki z innymi postaciami, które bardziej przerażały niż wzbudzały zaufanie.

Oto Mysz, która nakazuje Alicji wypowiadać się zwięźle, a dziewczynka nie ma pojęcia, o jakim węźle ma mówić; oto surowy i pozornie senny pan Gąsienica, który radzi jej trzymać nerwy na wodzy, a sam nerwowo ją karci; dalej Kot z Cheshire, który nieco irytująco pojawia się i znika, zostawiając po sobie uśmiech; i Zwariowany Kapelusznik, który tonem wszechwiedzącego autorytetu żąda od Alicji odpowiedzi na pytanie, jaka jest różnica między krukiem a piórnikiem, a następnie stwierdza, że sam nie ma pojęcia, jak na nie odpowiedzieć. Wszystkie te postaci sprawiają wrażenie gburowatych, a ich nieuprzejmość i arogancja nie zachęcają do dalszej lektury. Co więcej, wydaje się, że bohaterowie sami nie wiedzą czego chcą, a tym bardziej nie wiedzą, czego oczekują od Alicji. Okazuje się jednak, że w tych okolicznościach obfitych w chaos i przypadek bohaterka nie tylko zostaje odarta ze wszelkich złudzeń i zaczyna mieć problemy z odpowiedzią na pytanie: „Kim jestem?”, ale i rozwija się intelektualnie, w tym sensie więc Alicja w Krainie Czarów to przede wszystkim opowieść o dojrzewaniu. To dojrzewanie nie jest ograniczone tylko do okresu młodości czy do jakiegoś odcinka czasowego ludzkiej egzystencji. Wydaje się, że autor Alicji... chce uświadomić czytelnikowi, że dojrzewa się przez całe życie: mozolnie, często boleśnie, łykając co jakiś czas gorzki płyn własnych porażek i słabości, rozczarowań czy bólu. Dojrzewa się nawet w ciemnym tunelu, spadając coraz niżej i niżej, nie rozumiejąc, dlaczego i jaki jest cel spotykających nas doświadczeń. W tej niełatwej wędrówce Alicja nade wszystko uświadamia sobie jedno: że ma prawo myśleć, i że to pierwsza rzecz, do której człowiek ma prawo.

Lewis Carroll, a właściwie Charles Lutwidge Dodgson (1832-1898), skromny matematyk z Oksfordu, jeden z pionierów sztuki fotografii

w wiktoriańskiej Anglii, historię Alicji opowiedział najpierw podczas przejażdżki łódką po Tamizie swojej małej przyjaciółce, 10-letniej Alicji Liddell i jej dwu siostram, córkom Henry’ego G. Liddella, dziekana kolegium Christ Church Uniwersytetu w Oksfordzie, współautora słynnego Słownika Greckiego Liddella i Scotta. Pierwsze wydanie Alicji... ukazało się w 1865 roku, zaś drugą część jej przygód – Po Drugiej Stronie Lustra – Carroll napisał na wyraźne życzenie Królowej Anglii Wiktorii, w której po lekturze roztańczyły się dziecięce pytania. Bohaterka Carrolla imponuje nie tylko błyskotliwą inteligencją i dociekliwością, ale także odwagą, która ujawnia się zarówno w samokrytyce, jak i w krytyce skierowanej przeciwko postaciom spotkanym na swojej drodze. Alicja ma odwagę mieć własne zdanie, ma odwagę kwestionować i pytać tam, gdzie wszystko wydaje się ustalone raz na zawsze. W tym sensie może być utożsamiana z filozofem, i – co ciekawe – filozofowie w XX wieku często sięgali do bajek Lewisa Carrolla, szukając świeżego spojrzenia na rzeczywistość, spontanicznej ekspresji zafiksowanych problemów metafizycznych czy epistemologicznych. Jeden z filozofów analitycznych Hugh Mellor napisał nawet, że absurdalny humor zawarty w Alicji w Krainie Czarów mogą odczytać jedynie filozofowie. Dlaczego właśnie oni? Wydaje się, że filozofowie zdają sobie sprawę z tego, że zamiast rozjaśniać rzeczywistość, często jeszcze bardziej ją zaciemniali poprzez niezrozumiałe brzmiące sformułowania, abstrakcyjne systemy czy – co jest problemem filozofii dzisiaj – profesjonalizację tej dziedziny pociągającą za sobą coraz większą niezrozumiałość dla laików. Ten problem samej filozofii najlepiej wyraził w Traktacie o zasadach ludzkiego poznania George Berkeley, którego słowa można sparafrazować mniej więcej następująco: dużą część pro-

blemów, którymi dotąd się zabawiali, zawdzięczają filozofowie samym sobie, najpierw bowiem wzniesli tumany kurzu, a teraz skarżą się, że nic nie widzą. Wydaje się, że jedną z głównych trudności w samej filozofii oraz w jej odbiorze, trudności powstających często z powodu swoistej dezynwoltury samych filozofów, jest język, a Lewis Carroll w Alicji... pozostaje wierny anglosaskiej tradycji, zgodnie z którą większość nieistotnych dysput bierze się z nadużywania języka lub błędnego jego używania.

Poprzez nieustannie toczące się konwersacje na granicy sensu i nonsensu, Carroll chce wskazać na językowe uwikłanie człowieka w patrzeniu na świat. Kraina Czarów i Po Drugiej Stronie Lustra to przestrzeń, w której rozgrywają się dyskusje dotyczące tego, jak to się dzieje, że ludzie się porozumiewają, co jest potrzebne do komunikacji: znajomość konwencji, które są częścią społecznej praktyki czy intencji, które kryją się za słowami mówiących. Język z jednej strony jest traktowany jako coś wytworzonego przez społeczeństwo, nieruchomo tkwiącego w ściśle zdefiniowanych granicach konwencji i reguł nimi rządzących, z drugiej strony natomiast język to ping-pong sensów i znaczeń, coś, na co nie ma algorytmu. Przypomina się tu choćby opowieść Fałszywego Żółwia, który błędnie używa pewnych słów, ale Alicja nie ma problemu ze zrozumieniem go. W tym wypadku wydaje się, że porozumienie zachodzi nie na mocy konwencji czy wiedzy językowej, lecz na zasadzie intencji właśnie. Na znaczenie słów składa się więc rozumienie i intencja, ale to rozumienie daje życie znaczeniu, a nie na odwrót¹.

Innym problemem językowym Krainy Czarów i Po Drugiej Stronie Lustra jest pytanie, czy to my panujemy nad słowami (inaczej nie byłoby przecież poezji), czy to słowa panują nad nami (inaczej nie moglibyśmy się komunikować)? Czy możemy „naginać” każde słowo do każdego znaczenia? Czy słowa posiadają znaczenia niezależnie od nas? Alicja w rozmowie z Humpty Dumptym wydaje się stać na straży stanowiska, że słowa posiadają znaczenie same w sobie. Humpty Dumpty jednakże, jedna z najbardziej kontro-

wersyjnych postaci Po Drugiej Stronie Lustra, anarchista w kwestii znaczenia, uparcie twierdzi, że to my jesteśmy panami słów, natomiast słowa naszymi niewolnikami. Co więcej, jego zdaniem, to my arbitralnie, czasem powodowani kaprysem, wprowadzamy konwencje, często nie informując rozmówców o warunkach, na jakich je przyjmujemy – tworzymy znaczenia słów zależnie od prywatnych, indywidualnych aktów wyboru: „Jeśli ja używam jakiegoś słowa – oświadczył Humpty Dumpty tonem dość pogardliwym – znaczy ono dokładnie to, co ja sobie życzę: ni mniej, ni więcej”².

Problem języka jest podejmowany przez Carrolla jeszcze na innym poziomie. Oto w lesie, w którym nic się nie nazywa, Alicja spaceruje razem z Jelonkiem. Zwierzę nie wie, kim jest Alicja, ponieważ miejsce, w którym się znajdują, pozbawione jest nazw. Ani Alicja nie umie nazwać Jelonka, ani Jelonek nie rozpoznaje w niej reprezentantki homo sapiens. Kiedy oboje wychodzą z lasu, a rzeczy z powrotem zostają nazwane, Jelonek ucieka, bo Alicja zostaje przez niego określona jako ludzkie dziecko. Wydaje się, że Carroll chce podkreślić w tym miejscu problem relacji języka do rzeczywistości. Czy natura rzeczy jest niezależna od tego, jak ją nazywamy, czy wręcz przeciwnie: znaczenie nazwy determinuje naturę rzeczy? Kot z Cheshire wydaje się podzielać pierwszy pogląd, zgodnie z którym natura rzeczy jest całkowicie niezależna od tego, jak rzecz się nazywa: „No, więc widzisz – ciągnął Kot – że pies warczy, jak się rozgniewa, a kiedy jest zadowolony, macha ogonem. Otóż ja warczę, kiedy jestem zadowolony, a macham ogonem, jak się rozgniewam. I dlatego jestem wariat. Według mnie to się nazywa mruczeń, a nie warczeć – powiedziała Alicja. Nazywaj to sobie, jak chcesz – powiedział Kot”³.

Świat wyczarowany przez Lewisa Carrolla obejmuje także kwestie metafizyczne, chyba najlepiej wyrażone przez metaforę snu Czerwonego Króla⁴. Jak pisał Wystan H. Auden, to jed-

2 Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów i Po Drugiej Stronie Lustra, przeł. Robert Stiller, Warszawa 1986, s. 171-172.

3 Ibidem, s. 53.

4 Piszę o tym w tekście Zagadnienia filozoficzne w pracach Lewisa Carrolla, „Roczniki Filozoficzne”, t. LIII (2005), nr 1, s. 55-85.

1 Dokładniej zajmuję się tym problemem w tekście Język: wehikuł myśli czy narzędzie komunikacji, w: „Principia” XLIII-XLIV (2005-2006), ss. 121-150.

nak język wydaje się być – oprócz samej Alicji – głównym bohaterem tych fascynujących bajek. Nawet w ostatniej ekranizacji Alicji w Krainie Czarów w reżyserii Richarda Burtona, w chaosie technicznych rewelacji respekt wobec nieprzenikalności słów zostaje jak najbardziej zachowany (choćby w wypowiedziach Zwariowanego Kape-

lusznika). Słowa jawią się jako uparte, dumne, nieprzenikalne, posiadające swoiste życie i siłę, znaczące o wiele więcej niż to, co jesteśmy w stanie przez nie wyrazić, a absurdy językowe powstające w wyniku słownych manipulacji okazują się tylko zasłoną, której uchylenie otwiera drogę do sensu.

JOLANTA PROCHOWICZ

„INNE ŚWIATY” NAD WISŁĄ

Festiwal Filmu i Sztuki „Dwa Brzegi” w tym roku po raz czwarty połączył brzegi Wisły i dwa urocze miasteczka – Kazimierz Dolny i Janowiec.

Jest to wydarzenie które z pewnością należy wpisać do wakacyjnego kalendarza każdego miłośnika kina oraz dobrej zabawy. Gościnny Kazimierz, miejsce, które mi osobiście kojarzy się z przytłaczającą ilością weekendowych turystów i tłumami na rynku ale także z zapachem malin, intensywną barwą słoneczników, smakiem drożdżowych kogutów i beztroskim lenistwem nad Wisłą, w pierwszym tygodniu sierpnia staje się miastem Kina.

Tematem tegorocznej edycji festiwalu był: „Inny świat”. Brzmiało zagadkowo. Było różnorodnie. Pokazywane filmy budziły dużo emocji, niekiedy kontrowersji. Było nad czym dyskutować. Swoją polską premierę miały w Kazimierzu takie tytuły jak: „Sekret jej oczu” (zdobywca tegorocznego Oscara w kategorii filmów nieanglojęzycznych), „The Doors. Historia nieopowiedziana”, czy najnowszy film twórcy „Amelii”: „Bazyl. Człowiek z kulą w głowie”. Dwa ostatnie filmy prezentowane były w sekcji „Muzyka moja miłość”. Jest to już od lat mocny punkt w programie festiwalu, który warto polecić miłośnikom dobrej, różnorodnej muzyki filmowej i nie tylko filmowej. Smakowitych kąsków dla koneserów

kina pojawiło się znacznie więcej. Była też okazja, by spotkać się i porozmawiać z twórcami filmowymi: lekcji kina udzielał Jerzy Stuhr, o pracy reżysera opowiadał m.in. Krzysztof Zanussi, swoją retrospektywę podczas festiwalu miał Lech Majewski.

Ale „Dwa Brzegi” to nie tylko kino. Działo się dużo także muzycznie. I w tym przypadku na brak różnorodności nie można było narzekać. W przepięknych zamkowych okolicznościach Janowca można było usłyszeć muzykę filmową Komedy, w Kościele Farnym głos Małgorzaty Walewskiej, a w klubie festiwalowym między innymi folkowe brzmienia zespołu Disparates. Dla fanów tańców i hulanek atrakcją mogło być Silent Disco, czyli cicha impreza na słuchawkach. Do wyboru trzy różne kanały muzyczne. Efekt? Mnóstwo śmiechu, płasów do trudnej do zidentyfikowania, bo niesłyszalnej dla obserwatorów, muzyki i późne godziny śniadań.

Podczas zamknięcia tegorocznej edycji festiwalu Grażyna Torbicka, dyrektor artystyczny przedsięwzięcia, zapraszała na kolejne spotkanie z Filmem w Kazimierzu. Za rok. Wakacje w kinie? Warto zapisać w kalendarzu.



Artykuł sponsorowany

RAJ DLA PODNIEBIENIA – TYLKO JEDEN

Każdy student głowi się nad tym, jak zjeść niedrogo, a dobrze i zdrowo, a na dodatek na tyle blisko od uniwersytetu, że można by tam wyskoczyć w czasie godzinnego okienka. Wszystkie te warunki, a nawet znacznie więcej spełnia jEDEN u zbiegu trzech ulic: Akademickiej, Weteranów i Łopacińskiego.

W miejscu, o którym mowa znajduje się bar-restauracja, kawiarnia-herbaciarnia, salon kosmetyczny, a także punkt xero. Oznacza to mniej więcej tyle, że student (idąc od dołu, z poziomu chodnika) może podrzucić notatki do xero, zjeść w międzyczasie porządny obiad, wypić profesjonalnie zaparzoną herbatę (do wyboru 35 rodzajów), kawę (aż 22 rodzaje, np. po turecku!) lub smaczny owocowy koktajl i (jeśli czuje taką potrzebę) zregenerować się w salonie kosmetycznym. A wszystko to w dopiero co odnowionej kamienicy, rozmieszczone na 3 kondygnacjach. Cały lokal utrzymany jest w nowoczesnym, a jednocześnie bardzo przyjemnym dla oka stylu. Na ścianach obejrzyć można zdjęcia z wojaży właścicieli (m.in. po Afryce). Dodatkowo, jEDEN wspiera młodych twórców i oferuje im miejsce na wystawę. Tym samym daje nie tylko strawę dla ciała, ale i ducha.

W restauracji (na parterze) każdy student znajdzie coś na swoją kieszeń. Pełny (dwudaniowy) obiad zjeść można już w granicach 12 zł, co jest porównywalne z cenami w uczelnianych stołówkach. Z tym, że w jEDEN potrawy są podane na normalnych (a nie papierowych talerzach), ze sztućcami z prawdziwego zdarzenia, dobrze wyglądają i jeszcze lepiej smakują. W menu znaleźć można i gyros na frytkach, i kurczaka z ryżem, i schab w sosie miodowo-czosnkowym, i racuchy z owocami lub warzywami, sałatki i wiele innych. Słowem: szyk, gracia i elegancja.

Dla studenta, który zobaczył dno kieszeni lub portfela i dźwięczy w nim tylko kilka monet, jEDEN też ma propozycję: zestaw świeżych surówek za 3 zł (a wystarczy dobrać do tego frytki za kolejne 3 i można się najeść do syta).

Ogromną zaletą jEDEN są soki (2,5 zł). W przeciwieństwie do większości takich miejsc, nie serwuje się tu napojów z kartonu lub zabarwionej wody przypominającej kompot, lecz prawdziwy nektar z owocowym miąższem (czego w końcu można spodziewać się po „dotyku raju”, jeśli nie nektaru).

Wszelkie pozytywy jEDEN uwieńczone są (niczym tort wisienką na szczycie) cudownym, kulturalnym i młodym personelem. Tak przyjemna obsługa, która uśmiechnie się do klienta, doradzi, co wybrać i jeszcze pożartuje zdarza się niezwykle rzadko. Jest tu tak miło, że aż żal wychodzić. Gdyby tak można było przenieść zajęcia do jEDEN...

Nie czekajmy dłużej i pocujmy choć przez chwilę „dotyk raju”. Do jEDENa!

Godziny otwarcia :

xero i bar:

poniedziałek-piątek 9-17,

kawiarnia-herbaciarnia:

poniedziałek-piątek 10-20,

zakład fryzjerski-kosmetyczny:

**poniedziałek-piątek 9-20,
sobota 9-15.**

JOLANTA PROCHOWICZ

ŚWIAT WYLECZYĆ WYOBRAŹNIĄ. WOKÓŁ KSIĄŻKI MARIUSZA SIENIEWICZA „MIASTO SZKLANYCH SŁONI”

Na okładce tęczy słoń z podniesioną trąbą. Na szczęście. Bo szczęście w Mieście Szklanych Słoni produkuje się masowo. W hucie. Z butelek po przeróżnych trunkach pitych powszechnie przez osobliwych mieszkańców.

Nie ma obaw, że szczęścia może zabraknąć, tworzywa jest dość, wystarczy nawet na pomnik butelki po occie. Dlaczego po occie? Dlaczego nie! W Mieście Szklanych Słoni żadna historia nie jest bardziej prawdopodobna, wszystkie od razu otrzymały status rzeczywistych. Bo rzeczywistość w tym przedziwnym miejscu, to korowód fantazji i czarów, triumf wyobraźni nad tym, co jeszcze nie zostało stworzone.

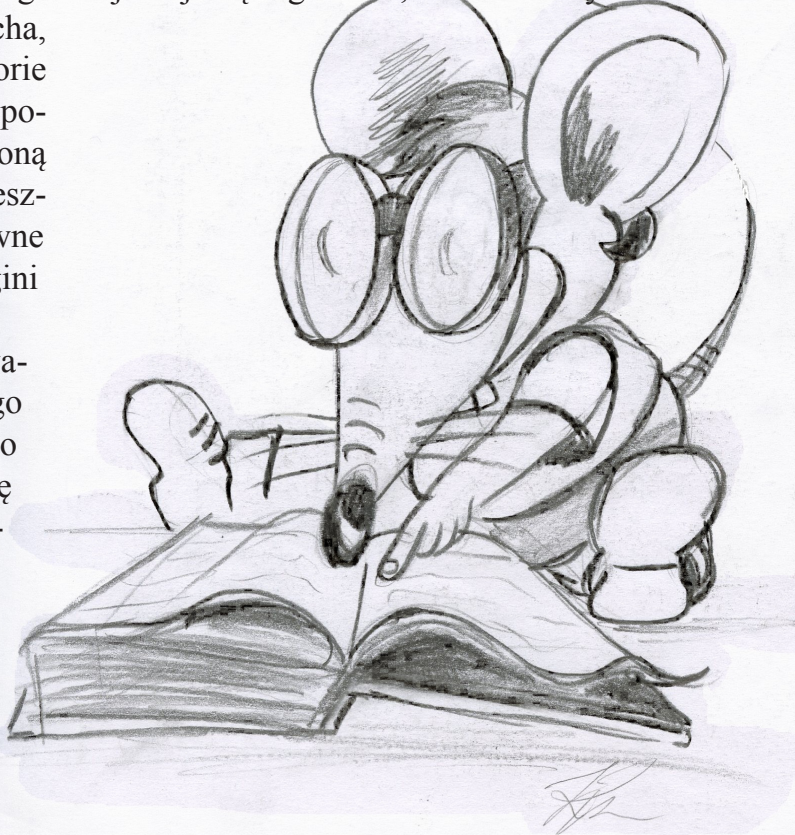
Mariusz Sieniewicz wprowadza czytelnika w rodzaj transu. Opowiada wiele historii, często urwanych, niedokończonych. Można odnieść wrażenie, że kreowany przez niego świat, to płatanina iluzji i nieprawdopodobieństw. Orgie z zastosowaniem mszalnego wina (bo przecież Boga w kościele nikt nigdy nie widział), wywoływanie ducha Władysława Gomułki, Romeo i Julia w trabancie, dres Bogdan kochający poezję, czy oddziałowa Zocha, która uwielbia gmeranie pod łopatką – historie codzienne tego specyficznego miasta na początku dziwią, jednak z każdą kolejną stroną stają się coraz bardziej wiarygodne, aby wreszcie zachwycić swoją prawdziwością. Zapewne jest to wpływ Tęczowej Wieloródki – bogini płodnej widzialności, opiekunki Miasta.

Narracja, w książce Sieniewicza, prowadzona jest wielogłosowo. Nie ma jednego narratora, trudno jest też powiedzieć, kto jest głównym bohaterem i gdzie naprawdę toczy się akcja. W jednym momencie jesteśmy czytelnikami pamiętnika Jana Kwiecińskiego – dyrektora oddziału okulistycznego leczącego dotykiem wyobraźni, by po chwili znaleźć się w dziwnym szpitalu psychiatrycznym, gdzie metodą leczenia jest dostarczenie pacjentom papieru i ołówków, by mogli pisać historie, które

nagle zaczynają toczyć się samodzielnie, przenikają się, komplikują, gmatwają. Można odnieść wrażenie, że naprawdę akcja toczy się w głowie pisarza – kreatora nowych światów, który za nic ma twierdzenia o tym, że człowieka można wtłoczyć w jedną przewidywalną opowieść.

Fabulą Miasta Szklanych Słoni nie kieruje logika. Potencjalnemu czytelnikowi spragnionemu związków przyczynowo-skutkowych, jednoznaczności, zamkniętej historii, która zawierałaby jasną myśl przewodnią, należy szybko i otwarcie powiedzieć, że książka ta nie ma sensu. Rządzi nią wyobraźnia, której nie sposób okiełznać pojęciami, która kruszy pewność, że istnieje tylko jedna uprzywilejowana historia mająca prawo do miana realności.

Jednak nawet w Mieście Szklanych Słoni fantazja staje się zagrożona, autonomii wyobraźni trzeba



bronić, gdyż tak zwana prawdziwa rzeczywistość uparcie rości sobie prawo do braku konkurencji. Do Miasta Szklanych Słoni wkracza Wizytator. Jan Kwiecisty podejrzewa, że jest on Bogiem, proboszcz stwierdza z politowaniem: „bawi się w Boga, a takie zabawy są zawsze nieładne. Wiem, co mówię. Sześć lat w seminarium, staż w kurii, kilkadziesiąt lat w konfesjonale. Też mnie kusiło. A kusi każdego, by rozporządzać nie swoim losem”. Wizytator interweniuje, chcąc przywrócić jedną opowieść, wykorzenić konfabulację i sprawić, by świat stał się ordynarnie zwykły. Mieszkańcy, z dnia na dzień tracą swoje miasto, stają się bezdomnymi. Jednak postanawiają zebrać na śmietniku normalności wymazane obrazy, by

ożywiać kolejne światy, a Tęczowa Wieloródka grzeje się z nimi przy ognisku. Triumf Wizytatora nie jest absolutny. Nie da się całkowicie wykorzenić z ludzi pragnienia niezwykłości.

Miasto Szklanych Słoni to książka, która wybija ze schematycznego myślenia, wybudza ze świata reguł, kodeksów, ludzkiego porządku. Płacze nas w sieci metafor podsuwających obrazy nie poukładane, chaotyczne, których nie możemy dopasować do konwencji naszego myślenia o świecie. Jest to lektura, która może być lekarstwem na „uwiad wyobraźni”. Uwaga! Przedawkowanie może prowadzić do nieodwracalnych zaburzeń w prawidłowym, ogólnie przyjętym za słuszny sposobie widzenia świata.

— — — — —
KRZYSZTOF MOGIELNICKI

„MY NAME IS BOB” OR RATHER JIMI THE SECOND

Koncert zespołu The Brew w lubelskim klubie Graffiti z 27.04.2010 r.

Kiedy przeczytałem recenzję najnowszej płyty brytyjskiej blues-rockowej grupy The Brew (A Million Dead Stars) opublikowaną w Magazynie Gitarzysty, z ciekawości zajrzałem na oficjalną stronę zespołu w poszukiwaniu informacji o trasie koncertowej. Interesowało mnie, jakie państwa znajdą się na liście tournée. Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem zapowiedź koncertu tej fenomenalnej kapeli w Lublinie. Lepiej będzie, jeśli dokładniejszy opis mojej żywej reakcji pominię. Zdawało mi się, że to musi być jakiś nieprzeciętny żart (największe miasta w Polsce ominięte?). Moje wątpliwości zostały rozwiane dopiero po zakupie biletów. Wtedy dopiero uświadomiłem sobie, co się szykuje w klubie Graffiti.

The Brew powstał w 2006 roku w miasteczku Grimsby. Trio tworzą basista Tim Smith, perkusista Kurtis Smith (syn Tima) i gitarzysta Jason Barwick. Partie wokalne wykonują Tim i Jason. Do tej pory grupa dorobiła się trzech płyt (The Brew, The Joker i A Million Dead Stars) i jednej epki (Fate and Time). Piosenki The Brew utrzymane są w rockowej stylistyce lat 60 i 70, słychać w nich wpływ Jimiego Hendrixa i Led Zeppelin. Partie gitarowe noszą znaczące ślady bluesowej gry Steviego Ray Vaughana. Przepysz-

na to mieszanka. Zaraz po debiucie w stronę The Brew posypały się liczne pochwały i pozytywne komentarze. Bardzo często mówi się o tym trio jako najlepszym zespole rockowym ostatnich kilkunastu lat. Szczególny sukces albumu The Joker zaowocował w 2009 roku europejską trasą koncertową, podczas której zespół odwiedził także Lublin.

Dobrze pamiętałem świetne recenzje poprzedniego występu Brytyjczyków w Lublinie. Znałem ponadto opinie o fenomenalnej atmosferze ich występów klubowych. Brytyjskie trio zasłynęło z tego, że swoje dotychczasowe krążki nagrali w koncertowym klimacie. Ostatnia płyta jednak już trochę odbiega od tego schematu. Tym bardziej była to ciekawa możliwość przekonania się na własnych uszach, jaką formę zaprezentują na żywo. Takiej okazji nie można było przegapić. Nie ukrywam jednak, że wybrałem się na ten koncert z trochę innego powodu. Chciałem przekonać się, czy słuszne są wszelkie pochwały kierowane w stronę dwudziestoletniego gitarzysty Jasona Barwicka.

Mimo prób rozpropagowania tego wydarzenia udało mi się namówić tylko jedną osobę (Ewo, prawda, że warto było?). Wydaje mi się, że dla studenta (i nie tylko) odstrasząca była cena biletów

(50 zł). Pomimo tego, spodziewałem się w klubie pełnej sali koncertowej. Niestety, w Graffiti sta-
wiło się góra 50 osób. Dla The Brew na szczęście
fakt ten nie stanowił najmniejszej przeszkody.
Zespół zaprezentował się z jak najlepszej strony,
dając pokaz niezwyklej umiejętności muzycz-
nych i technicznych, co wpłynęło na powstanie
niezapomnianego rockowego widowiska.

Koncert rozpoczął się pierwszym utworem z
najnowszego albumu – *Every Gig Has a Neigh-
bour*. Z głośników popłynęły „szklane” dźwięki
Stratocastera Jasona zachęcające do rozpoczęcia
dobrej zabawy. Tę w istocie kapeli udało się utrzy-
mać przez następne półtorej godziny. Z utworu na
utwór zdawało mi się, że Brytyjczycy rozkręcają
się coraz bardziej, aby dać upust nagromadzonej
sile w ostatnim kawałku, ale nie wyprzedzajmy
faktów.

W pierwszej części występu The Brew zapre-
zentowali głównie piosenki z najnowszego albu-
mu. Znalazły się zatem takie kawałki jak surowy
Surrender It All, nastrojowy *Kam* („I’ve found
my place...”) i żywiołowy *Change In the Air*.
Szkoda tylko, że nie wykonali dwóch akustycz-
nych utworów *Monkey Train* i *Mav the Rave*.
Osobno trzeba napisać o wykonaniu *Wrong Tu-
nes* i *Heart Desires* (album *The Joker*). Te kawał-
ki nie tylko potwierdziły, że Jason jest świetnym
gitarzystą rytmicznym i solowym, ale też dobrze
zapowiadającym się wokalistą. Jego głos z łatwo-
ścią przebijał się ponad wszystkie partie instru-
mentalne. Wydaje mi się, że ze względu na dobre
nagłośnienie klubowe nie było to zbyt łatwe. Co
więcej, zespół korzystał także ze swojego sprzętu,
to jest kolumn i lampowych wzmacniaczy firmy
Marshall, czym zapewne zdołałby nagłośnić cały
koncert bez pomocy ze strony Graffiti... O tym,
że Jason gra na gitarze jak mało kto, przesądzi-
ło wykonanie drugiej, instrumentalnej części *24
Hours From Yesterday* (*The Joker*) i *Little Wing*
Jimmiego Hendrixa.

Następną część koncertu po krótkiej przerwie
rozpoczęło perkusyjne solo Kurtisa, podczas
którego, po wyrzuceniu pałeczek, dał on pokaz
niekonwencjonalnej „ręcznej” gry. Można było
stwierdzić po jego występie, że Jason nie jest
jedyną utalentowaną osobą w zespole. W tym

miejscu trzeba też wspomnieć o ojcu Kurtisa. Po
Timie wcale nie widać różnicy wieku, jaka dzieli
go od dwójki młodych muzyków. Można było za-
uważyć, że bardzo dobrze czuje się na scenie.

Po perkusyjnym solo nastąpiło wykonanie ty-
tułowej piosenki promującej album – *A Million
Dead Stars*, później zaś Jason wcielił się w Jim-
miego Page’a, grając za pomocą smyczka na gita-
rze Gibson Les Paul utwór *A Smile to Lift a Little
Doubt*. The Brew zakończył koncert z mocnym
przytupem długą improwizacją, w czasie której
młody gitarzysta z pewnością zachwycił wszyst-
kich efektownymi sweepingami (jakież to było
świetne rytmicznie!) przeplatanyimi hendrixow-
skimi bluesowymi zagrywkami na efekcie wah-
wah. Jakby tego było mało, przed zejściem ze
sceny zespół wgniół całą publikę w ziemię wy-
konaniem wariacji wokół *Voodoo Child* (*Slight
Reprise*) Hendrixa.

Wszelkie superlatywy, którymi określany jest
The Brew nie są pustymi słowami. Zespół może
pochwalić się nie tylko wyśrubowanym poziomem
albumów studyjnych, ale także pokazuje
wysoką formę podczas koncertów, o czym mia-
łem okazję się przekonać. Brytyjczykowi uda-
ło się także nawiązać kontakt z publicznością i
żartować (na potrzeby zatytułowania tego tekstu
wybrałem jedną kwestię Jasona w odpowiedzi na
okrzyki fanek i fanów skierowane w jego stronę).
Niezaprzeczalne jest, że przed The Brew z nowym
Hendrixem – nie wolno się bać tego powiedzieć
– na czele, stoi otworem jeszcze większa kariera
niż dotychczas. Jeśli utrzymają prezentowany do
tej pory poziom, wrózę im świetlaną przyszłość.

Szkoda, że wraz z Ewą śpieszyliśmy się na au-
tobus powrotny i nie zostaliśmy chwilę dłużej w
klubie. Po zakończeniu koncertu zespół zbierał
swoje sprzęty i muzycy chętnie rozmawiali z pu-
blicznością. Pozostały nam zatem oprócz niezat-
artych wspomnień, uścisk dłoni Jasona i „kost-
kowa” zdobycz Ewy.

„The power of this trio has to be seen to be be-
lieved”. Zgadza się z tą opinią i zachęcam do jej
osobistej weryfikacji poprzez uczestnictwo w na-
stępnym koncercie The Brew w Lublinie, który,
miejmy nadzieję, nastąpi jak najszybciej.

FAŁSZYWA DEKOMPOZYCJA

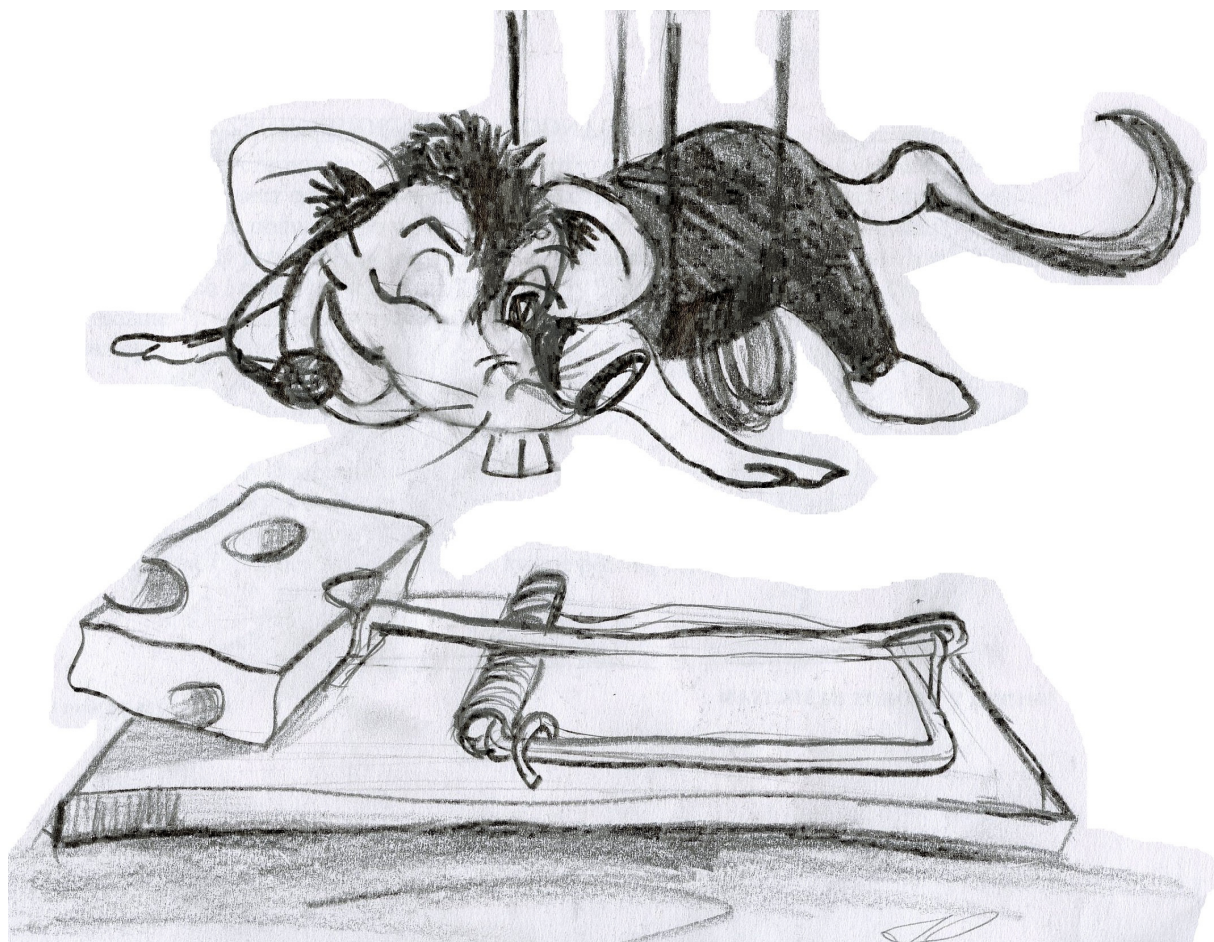
Nie jest odkryciem stwierdzenie, że języki potrafią nas oszukiwać. Czasem napotykamy na znaczne trudności w ustaleniu, skąd pochodzą pewne słowa czy zjawiska gramatyczne. Paradoksalnie, największe problemy sprawiają nam często te elementy, co do których przekonani jesteśmy, że ich geneza jest dla nas jasna.

W wyrazach takich jak „autobus” i „trolejbus” nic nas nie dziwi. Nie mamy, żadnych trudności z ich zrozumieniem. Jednak po bliższym przyjrzeniu się im, może się okazać, że powstały w dość nietypowy sposób. Ale zanim w szczegółach to pokażę, potrzebny jest mały wstęp teoretyczny.

W wielu językach, w tym w polskim, wyrazy mają budowę złożoną. Składają się z kilku części: rdzenia (będącego nośnikiem informacji leksykalnej; to on decyduje, do jakiego elementu rzeczywistości odnosi się dany wyraz), afiksów słowotwórczych (przyrostków i przedrostków, które modyfikują, uszczegóławiają znaczenie wyrazu) oraz elementów niosących informację o formie gramatycznej (np. końcówek wyrażających przypadek i liczbę rzeczownika).

Przykładowo polski wyraz „syn” składa się z rdzenia i końcówki. Rdzeniem jest „syn-”, funkcję końcówki (mianownika liczby pojedynczej) pełni w tym przypadku brak jakiegokolwiek dźwięku. Rdzeń „wybiera” z rzeczywistości to, do czego się odnosi ten wyraz i wyrazy pokrewne tj. męskich potomków z pierwszego pokolenia. I tak „synowski” oznacza to, co należy do syna lub jest z nim związane w inny sposób. Słowo to ma już bardziej od wyrazu „syn” złożoną budowę: oprócz rdzenia zawiera przyrostek -owsk- tworzący przymiotniki od rzeczowników i końcówkę -i (oznaczającą rodzaj, liczbę i przypadek).

Nawet jeśli użytkownicy języka nie uświadamiają sobie tej struktury, to dzięki jej istnieniu wyrazy danego języka mogą tworzyć pewne cią-



gi skojarzeniowe. To zaś ułatwia rozumienie słów usłyszanych po raz pierwszy oraz umożliwia tworzenie nowych.

Ilość afiksów słowotwórczych danego języka w pewnym momencie jest w zasadzie stała. Jednak w miarę potrzeb ich zbiór może ulec powiększeniu. Jednym ze sposobów na jego zwiększenie jest fałszywa dekompozycja, czyli zjawisko polegające na rozłożeniu jakiegoś wyrazu niezgodnie z jego pierwotną strukturą. Powstała w wyniku takiego podziału częśćka może być użyta do utworzenia nowego szeregu wyrazów. I tak wszyscy rozumiemy, że pracoholik to ktoś uzależniony od pracy, tak jak alkoholik jest uzależniony od alkoholu. Wydaje się więc, że „pracoholik” powstał od wyrazu „praca” poprzez dodanie sufiksu „-oholik”. Jednak w „alkoholiku” „-oholik” nie może być przyrostkiem, gdyż jest to wyraz utworzony od wyrazu alkohol, zatem to samo -ik pierwotnie było przyrostkiem! Częstka „-oholik” jest bardziej wyrazista – oznacza jednoznacznie kogoś w jakiś sposób uzależnionego od czegoś. Temu zawdzięcza swój „sukces” – powstają kolejne wyrazy o podobnej strukturze np. „seksoholik” lub „autoholik” (nazwa, bodajże, szkoły jazdy). Sprawę komplikuje nieco to, że wyraz „pracoholik” jest kalką angielskiego „workaholik”, nie zmienia to jednak faktu, że przyrostek w nim występujący powstał dzięki fałszywej dekompozycji.

Teraz możemy wrócić do „autobusu” i „trolejbusu”. Stanowią one część tego szeregu wyrazów powstałych w wyniku fałszywej dekompozycji, który najbardziej zadomowił się we współczesnym języku (nie tylko w polszczyźnie – takie wyrazy występują powszechnie w językach eu-

ropejskich, nie dziwi więc to, że ich źródłem nie jest język polski). Występuje w nich częśćka bus, traktowana i rozumiana jako formant oznaczający rodzaj pojazdu.

Na początku owego szeregu znajduje się nieco zapomniany już omnibus. Był to pojazd konny, który został wprowadzony w XVII w. w Paryżu. Jego nazwa pochodzi z łaciny, gdzie oznacza „dla wszystkich” (gdyż był to był pierwszy publiczny środek transportu) i jest celownikiem liczby mnogiej od wyrazu „omnis” (każdy).

Rdzeniem formy łacińskiej jest omn-, końcówką -ibus. Jak widać nie dość, że urwano końcówkę, która nie ma prawa funkcjonować samodzielnie, to jeszcze urwano ją w niewłaściwym miejscu. Samo „bus” może obecnie występować samodzielnie jako osobny rzeczownik oznaczający również rodzaj pojazdu, co sprawia, że zagadnienie jest jeszcze bardziej złożone.

Oba te nowe przyrostki „-bus” i „-oholik” powstały na gruncie języków zachodnioeuropejskich, co nie zaskakuje, ponieważ te języki mają raczej ubogi system słowotwórczy – niewiele jest w nich przyrostków produktywnych tj. występujących nie tylko w wyrazach już dawniej utworzonych, ale i mogących tworzyć nowe. To, że przyrostki te przyjęły się w innych językach, w tym także bogatszych pod tym względem, wynika z faktu, że odnoszą się one do klas zjawisk, które nie miały wcześniej w tych językach żadnych formalnych wykładników albo nawet – jak w przypadku przyrostka „-bus” – są zjawiskami nowymi. Nie ulega więc wątpliwości, że częśćka ta, traktowana jako przyrostek, wypełniła pewną lukę w systemie.



JOLANTA PROCHOWICZ

NORWID – REALISTA CZY MARZYCIEL? O „ASSUNCIE” JAKO ROMANTYCZNYM I FILOZOFICZNYM POEMACIE O MIŁOŚCI.

*Świat zamknąć w jednym obrazie może
tylko cudotwórczyni poezja*¹

We wstępie do *Assunty* Cyprian Norwid pisze: „Zauważono słusznie, iż w literaturze polskiej policza się ledwo parę Poematów Miłosnych, jakoby się parę razy zaledwo obejrzało na siebie te tak dostojne i różno-promienne uczucie”.² Zdumiewającym jest, że epoka, w której temat miłości był tematem przewodnim, była tak mało płodna, jeśli chodzi o ten gatunek literacki. Jednak nie ulega wątpliwości, że choć nieliczne, utwory, które wyszły spod piór wielkich mistrzów tamtego czasu, po dziś dzień zachwycają i inspirują. Ich ogromna różnorodność w ujmowaniu tematu i przedstawianiu świata ukazuje czytelnikowi bogactwo epoki, w której powstawały oraz geniusz ich twórców.

Zarówno w *Dziadach* Adama Mickiewicza, jak i w poemacie *W Szwajcarii* Juliusza Słowackiego realizowany jest romantyczny model miłości jako irracjonalnej, indywidualistycznej i destrukcyjnej siły, która prowadzi do nieszczęścia, bólu, szaleństwa.

W poemacie *Assunta* miłość także kończy się tragicznie, kochankowie nie mogą być razem. Powoduje bezbrzeżne cierpienie, ale pełni też inną rolę: jest elementem filozofii samego Norwida. *Assunta* jest poematem miłosnym, ale także filozoficznym. Uczucie staje się sposobem na pogodzenie rzeczywistości ziemskiej z duchową, drogą z *przeciw-uczucia do przeciw-rozumu*,³ dlatego nie jest destrukcyjna, mimo że nie prowadzi do szczęścia i stabilizacji.

W swojej pracy chciałabym przybliżyć rolę miłości w filozofii Norwida, spróbować porównać poemat z innym wielkim dziełem tamtego czasu: *Dziadami* Adama Mickiewicza, wreszcie odpowiedzieć na pytanie: kim jest *Assunta* dla autora poematu i na ile jest ona symbolem, a na ile kreacją pierwszego w literaturze skończonego typu kobiety.

***Assunta* - poemat o wędrowce w poszukiwaniu sensu istnienia**

Bohatera *Assunty* czytelnik poznaje jako dandysa znudzonego życiem, pozbawionego celów, marzeń i planów.

*I mnie tak ranek zaświtał jałowy:
Czynić co nie mam ni kwapić się na co,
Ot! Jeden z tych dni co są, bo się tracą.*⁴

Bohater ów, widząc stojący w kącie kij oraz słomiany kapelusz, które przypominają mu wcześniej odbyte wędrówki, postanawia wyjść z domu. Pokonywanie drogi stanie się okazją do poszukiwania sensów i odkrywania prawdy o świecie i sobie samym. Pierwszy etap tej wędrówki to droga w dół, w ciemności kopalni. Spotyka na niej górnika reprezentującego scjentystyczną postawę wobec życia i losu człowieka. Uważa on, że wszystko da się wytłumaczyć za pomocą nauki, a człowiek jest jedynie zbiorem minerałów, podlegającym różnym procesom biologicznym. Trudno nie zauważyć, że to ujęcie natury ludzkiej jest bardzo charakterystyczne dla filozofii ewolucjonizmu, która prawami przyrody tłumaczyła każdą sferę życia ludzkiego. Podróżnik nie godzi się jednak z wywoдем górnika, szuka rzeczywistości wychodzącej poza zimny grób i bezwzględne prawa natury. Idzie w górę, dociera do

1 Zofia Węgierska, *Czar poetyckiej wymowy* [w:] Mieczysław Inglot, *Cyprian Norwid*, Warszawa 1991.

2 Cyprian Norwid, *Pisma wybrane cz. 2: Poematy*, Warszawa 1968, str. 79.

3 Cyprian Norwid, *Assunta* [w:] *Pisma wybrane cz. 2: Poematy*, Warszawa 1968.

4 Tamże, Pieśń I.

bram klasztoru, gdzie znajduje odpoczynek i szklankę źródłanej wody. To miejsce sprzyja refleksjom nad sferą duchową, ale wydaje się być zbyt wyizolowane i odcięte od rzeczywistości ziemskiej. Kolejnym etapem wędrówki jest ogród. Znajduje się on pomiędzy kopalnią, a klasztorem. To właśnie tam bohater spotyka Assuntę - wnuczkę ogrodnika, niemą sierotę, która straciła rodziców w powodzi i od tamtej pory nie wypowiedziała żadnego słowa. Nie bez znaczenia jest, że nim mężczyzna ujrzał Assuntę, jego oczom ukazał się złoty krzyż. Norwid traktował symbol krzyża jako przecięcie się dwóch rzeczywistości. Linia pionowa oznacza wymiar transcendentalistyczny, sferę pozaziemską, natomiast linia pozioma symbolizuje rzeczywistość ziemską, świat w którym przychodzi żyć człowiekowi. Krzyż jest także znakiem cierpienia prowadzącego ku wieczności. Widząc dziewczynę, bohater zachwycą się, mówi do niej, ta jednak milczy. Młodzieniec zakochuje się w Assuncie, nie jest to jednak koniec jego drogi. Dalszą częścią przygody związanej z odkrywaniem świata i prawdy o ludziach jest wizyta w domu wielkiej damy, właścicielki ogrodu. Tutaj spotyka się z jeszcze jedną filozofią życiową: zimną kalkulacją, rachunkiem zysków i strat - utylitaryzmem. Dama postanawia ożenić Assuntę z synem intendentki, gdyż niema sierota wydaje się stanowić idealną kandydatkę na żonę dla zbyt porywczego, pijącego i trwoniącego pieniądze młodzieńca, „zwłaszcza, że z niemą ni bić się, ni wadzić”.⁵ Bohater poematu z oczywistych względów żywo protestuje, jednocześnie jest rozgoryczony życiem na wielkich salonach, obłudą i fałszem tam panującymi, rozmowami, które nie prowadzą do porozumienia: „Zbyt popularnym afiszów językiem/ gada się z każdym, lecz nie mówi z nikim”.⁶

„Pogawędkę” bohatera poematu z hrabiną pełną cynizmu i fałszu, przerywa wiadomość o tym, że dziadek Assunty, umiera. Pogrzeb ogrodnika, staje się okazją do uświadomienia sobie marności ludzkiej wiedzy i naukowych interpretacji świata. Bohater odkrywa, że ludzie nie patrzą w niebo, brak im odniesienia do perspektywy transcendentalnej i przez to błędzą w labiryntach wątpliwej wiedzy, na próżno szukając rozwiązania zagadek istnienia. Tymczasem niemożliwe jest zrozumienie świata bez odniesienia do sfery duchowej, rzeczywistości wyższej. Dla bohatera poematu „spojrzeniem ku górze” jest Assunta (takie jest znaczenie jej imienia) To ona staje się „środkiem” łączącym dwie linie krzyża. Ona także, odchodząc, zostawia bohaterowi cierpienie, które pozwoli mu patrzeć na świat ziemski z perspektywy nieba. Miłość Assunty okazuje się syntezą dwóch rzeczywistości. Jej fizyczne kalectwo umożliwia wypowiadanie prawd nie do wypowiedzenia. W świecie pełnym czczej gadaniny staje się czymś wyjątkowym, formą przeżycia religijnego i obcowania z Absolutem. Milczące „spojrzenie ku górze” jest manifestem bliskości Boga i przynależności do nieba. W chwilach przeżytych z niemą dziewczyną, bohater odnajduje sens istnienia, poszukiwaną filozofię życia. Miłość do kobiety staje się zarówno erotycznym przeżyciem, jak i medium mistycznego dialogu z Bogiem. Trudno tutaj nie dostrzec personalizmu Norwida. Ponad sto lat później Mounier stwierdzi, że Boga i siebie samego można poznać jedynie w drugiej osobie, międzyludzka komunikacja jest faktem podstawowym w egzystencji, a jej najpełniejszą formą jest właśnie miłość. Tak więc Norwidowski poemat nie jest niczym innym, jak pierwszym manifestem personalizmu, podkreśleniem niezwyklej wartości drugiej osoby w egzystencji człowieka. Bohaterowi poematu nie było dane zaznać stabilizacji i trwałego szczęścia z Assuntą. Niema sierota odchodzi z jego życia. Być może wychodzi za mąż, być może umiera. Mężczyzna zostaje sam, pogrążony w rozpacz. Miłość nie została mu dana dla osobistej satysfakcji, ale



5 Assunta, Pieśń III.

6 Tamże.

miała pomóc mu rozumieć świat, patrzeć jednocześnie „w górę” i „wokoło” i tym samym zbliżyć go do Boga. Ukochana zostawia mu duchowy testament: wyznacza drogę pomiędzy sprzecznościami, pełną milczenia i prowadzącą ku niebu. Pokazuje filozofię chrześcijańskiego egzystencjalizmu, który wyrastając z rozpacz, wzbija się w nieskończoność.

Kim jest Assunta?

*Myślałem, że to Anioł, że Ojczyzna
Że to społeczność Ducha z Idealem⁷*

Assunta, tytułowa bohaterka poematu to niema sierota, mieszkająca razem z dziadkiem. Jej postać, jak i cały poemat, interpretowana była bardzo różnie. Jedną z bardziej fascynujących cech twórczości Norwida jest niesłychana głębia i różnorodność zawartych w niej sensów. *Assunta* jest poematem wieloznacznym, który można odczytywać na wiele sposobów i każde z ujęć może być uzasadnione. Wielu badaczy traktowało niemą dziewczynę jako symbol sztuki. Przekonanie to mogło być tym bardziej uprawnione, że przed napisaniem poematu Norwid miał okazję podziwiania obrazu Tycjana *Wniebowzięcie Panny Marii Assunta*. Być może to przeżycia artystyczne były bezpośrednią inspiracją do napisania dzieła. Bohaterka może też symbolizować duszę, Ojczyznę, ideę, wszystko to, co może kierować wzrok człowieka ku górze, przekraczać świat materialny i tym samym umożliwiać kontakt z Absolutem. Można też rozpatrywać poemat w powiązaniu z przeżyciami miłosnymi poety. Warto w tym miejscu pochylić się nad spojrzeniem Norwida na miłość, które było różne od typowego romantycznego modelu. W romantyzmie kobiety były przedstawiane jako obiekty adoracji i – co za tym idzie – istoty nieziemskie, idealne, niedostępne dla zwykłego śmiertelnika. Prawdziwa miłość musiała być z założenia nieszczęśliwa. Powinna była prowadzić do obłędu lub śmierci, więc nie mogła być związana ze stabilizacją i małżeństwem. Te pojęcia były jej zupełnie obce. Żony nie odgrywały w poezji romantyków żadnej roli. To kochanki były muzami wieszczów. Idealizowane i wielbione na kartach utworów były aniołami bądź kobietami fatalnymi. Norwid patrzył na kobiety inaczej. Łączył sferę idealną swojej miłości z realnym, prozaicznym bytem. Identyfikował życie z poezją i żonę z idealną kochanką. Być może to było przyczyną jego licznych rozczarowań i tragedii. Tak było w przypadku Marii Kalergis, którą w liście do Magdaleny Łuszczewskiej porównywał do Penelopy trzymającej w dłoni iglicę lub nici. Warto dodać, że jest to ciekawy przykład na to, jak miłość może przekłamać obraz ukochanej osoby, jak daleko może sięgać idealizacja. Maria Kalergis, rozkapryszona i próżna, przyzwyczajona do luksusów kosmopolitki, w oczach poety aspirowała do roli strażniczki domowego ogniska. Połączenie to postronnemu obserwatorowi może się wydać dość egzotyczne i nie do urzeczywistnienia, jednak Norwid beznadziejnie wierzył w swoją wizję, karmił się złudzeniami podróżując w ślad za światową kobietą spragnioną salonowych uciech, wierząc że stanie się jego żoną. Musiało się to skończyć rozczarowaniem. Maria wyszła za mąż za dobrze postawionego pułkownika rosyjskiego.

Konkretyzację pomysłu Norwida na romantyczną miłość kończącą się małżeństwem mogła stanowić Zofia Węgierska. Felietonistka, zaangażowana w sprawy społeczne, pełna wdzięku i jednocześnie szalenie samodzielna, idealnie odpowiadała norwidowskiemu modelowi miłości. Jej przedwczesna śmierć przekreśliła jednak urzeczywistnienie planów poety. Ideał nie został zrealizowany. Być może Norwid postanowił urzeczywistnić swoją wizję na kartach poematu. Zofia Węgierska mogła być inspiracją do napisania *Assunty*. Wydaje się prawdopodobne, że po śmierci ukochanej poeta chciał w jakiś sposób upamiętnić uczucie, zrealizować swój ideał i jednocześnie stworzyć kreację kobiety nie będącej złudą, ale rzeczywistą postacią realizującą jego wizję miłości. Norwid, widząc brak korespondencji kobiet romantycznych z realnymi kobietami, dostrzegał także jednostronność ich kreacji.

Assunta miała być zaprzeczeniem takich kobiet, miała łączyć rzeczywistości, spajać miłość rzeczywistą i idealną, cielesną oraz duchową i właśnie przez to tworzyć pierwszy w literaturze pełny, skończony obraz kobiety.

Assunta a IV część *Dziadów*

Dwa teksty romantyczne, dwaj różni bohaterowie, dwa zupełnie odmienne spojrzenia na miłość.

Gustaw, *alter ego* Mickiewicza, szaleniec, człowiek w stanie kryzysu, który tak dalece rozbił jego tożsamość, że nie sposób powiedzieć ani kim jest, ani nawet czy żyje oraz znudzony dandys próbujący odnaleźć swoje miejsce w świecie i zrozumieć sens życia. Dla pierwszego miłość to pasja i szaleństwo, jedyny raj dostępny dla człowieka, drugi w miłości odnajduje pełnię i zrozumienie, staje się ona dla niego drogowskazem prowadzącym ku niebu. Różnią ich także obiekty miłości. Ukochana Gustawa to idealna postać mająca jednak złą duszę, będąca przyczyną grzechu – samobójstwa bohatera. Assunta jest jej pełnym przeciwieństwem – jest niedoskonała, ale dobra. Jej fizyczne kalectwo podkreśla realność, obecność w niedoskonałym świecie, natomiast symbolika złotego krzyżyka i znaczenie imienia dziewczyny każe zwracać uwagę na pozaziemski wymiar istnienia. Zupełnie odmienny jest też sposób obrazowania, sytuacja w jaką rzuceni są bohaterowie oraz sposób ich odczuwania. Poemat Norwida jest z pewnością o wiele bardziej „realny” niż IV część *Dziadów*. Działania bohatera *Assunty* nie odbiegają zasadniczo od typowych zachowań zakochanego człowieka. W poemacie można dostrzec udawanie obojętności, tak charakterystyczne dla zakochanego człowieka nie chcącego zdradzić się ze swoimi uczuciami, olbrzymie emocje towarzyszące pierwszemu pocałunkowi, wreszcie płochą niemej dziewczyny, która jest zapewne nieco przerażona zaistniałą sytuacją. Zachowania bohaterów pod względem psychologicznym są niezwykle realne. Inaczej jest w IV części *Dziadów*, gdzie przedstawienie miłości oraz jej skutków jest teatralne i nierzeczywiste. Gustaw pojawia się na kartach dramatu jako samobójca i szaleniec, który zachowuje się nieracjonalnie: przedstawia gałąź jako swojego przyjaciela i rozmawia z kołatką. Niewątpliwie poemat *Assunta* jest zdecydowanie bardziej realistyczny. Mickiewiczowskie *Dziady* są teatralne i niekiedy nienaturalne. Należy jednak pamiętać, że mają one formę dramatu, który z założenia ma być właśnie teatralny i często przesadny w swoich środkach ekspresji. Wykazanie dalszych różnic wymagałoby obszerniejszego tekstu.

Podsumowanie

Assunta jest poematem syntez. Norwid dokonał rzeczy niezwykle trudnej - zamknął dwa światy (realny i idealny) w jednym obrazie. Odrzucając popularną w jego epoce jednostronność, nadał rzeczywistości charakter wielowymiarowy. Poemat jest przykładem idealnej równowagi między kreacją, a realizmem. Będąc specjalistą w dziedzinie łączenia skrajności w spójną całość, Norwid wykreował portret kobiety jako żony i kochanki, obraz filozofii jako syntezy rozumu i uczucia, wizję miłości jako uniesienia erotycznego i duchowego, wreszcie wizerunek człowieka jako jednostki zawieszanej między rzeczywistością ziemską, a duchową. Zestawiając poemat *Assunta* i *Dziady* nietrudno zauważyć, że dzieła różnią się między sobą niemalże w każdym aspekcie. Różnią się, jak napisała Mieczysława Buczkówna, „w sposób ostry i szlachetny”⁸. Właśnie w tych jaskrawych różnicach, pomiędzy osobowościami twórców, ich światopoglądem oraz sposobem kreacji świata i bohaterów, widzę magię romantycznych poematów o miłości. Prowadzą one flirt z realizmem, stoją na krawędzi prawdopodobieństwa, grają z biografią swoich twórców wprowadzając tym samym czytelnika w rodzaj stanu sennego marzenia o miłości, która jest jednocześnie z tego i innego świata.

8 Mieczysława Buczkówna, *Z przeciw – uczucia do przeciw – rozum. (Szczęśna i Assunta C.K.Norwida)* [w:] Poezja 1967, nr 5.

JAKUB MAMCARCZYK

MEMENTO?

Lustreczko, powiedz przecie... już ty wiesz co!

Każdego dzionka raniuchno, kiedy słoneczko wychyla się zza horyzontu, by złocistym blaskiem opromienić planetę („Kiedy ranne wstają zorze...”), Ciebie, Drogi Czytelniku, budzi z błogiego snu znienawidzone wrrrrrrrrrrrr!!!!!!! Spokojnie, to przecież tylko pocziwy budzik podaje Ci do wiadomości: koniec leniuchowania, czas do pracy. Natychmiast wychodzisz z futerału i od-tąd aż do wieczora (czasami dłużej) pozostajesz w pozycji wertykalnej. Poprzeciągasz się trochę, nasmarujesz czyściwem, na koniec łykniesz dla zdrowia parę szklanek oliwy lub jakiegoś elektrolitu i już radosny, w podskokach pędzisz... niestety, nie bimber... pędzisz do roboty. Tam jesteś doskonały w każdym calu: nosisz najlepszy garnitur, masz najlepszą fryzurę (czyli przepisowego języka), najpiękniej się uśmiechasz, jesteś najbardziej asertywny i najbardziej kreatywny, najbardziej innowacyjny i najbardziej przebojowy – „Naj” to Twoje drugie imię. A wokół też sami Naj: najprzystojniejsi, w najlepszych garniturach,

z najrówniejszym językiem, najbardziej asertywni i najbardziej kreatywni, najbardziej innowacyjni i najbardziej przebojowi – wszyscy tak samo najdoskonalsi i najszczęśliwsi, wszyscy czujący się obowiązkowo extremally well. Wszelako od czasu do czasu któremuś z owych Naj może zdarzyć się wypadek, ot, wystarczy taka drobnostka jak chwilowy brak samozadowolenia. Wtedy trzeba zawołać lekarza, specjalistę w zakresie mechaniki pracy, by przetkał pacjentowi rury, ewentualnie nakręcił mu sprężynę. Gorzej, gdy pacjentowi przegrzeje się procesor i zaczyna bredzić, że dłużej tak nie wytrzyma... Poważna sprawa, nie ma co... Wówczas trzeba go czasowo unieruchomić, by móc ochłodzić procesor wiatraczkiem. A gdy i to nie pomoże to, no cóż, trzeba oddać biedaka do składnicy odpadów poprzemysłowych, może go przetopią na coś bardziej pożytecznego...

Wracając do Ciebie, mój Ty Naj-Czytelniku: po skończonej pracy przychodzisz do domu, gdzie wchłaniasz główną tego dnia porcję kationów i anionów, przyprawionych dla smaku szczyptą amoniaku, pokomunikujesz się co nieco z pozostałymi Naj-domownikami, nawet obejrzyście wspólnie ulubiony serial, poczym nasmarujesz się na noc czyściwem i marsz do futerału!... A nad ranem, kiedy słoneczko wychyli się zza horyzontu... i tak w period, jak mawiają Rosjanie.

Niestety, nie jest aż tak miódnie, co najmniej dwa razy dziennie – rano i wieczorem - dzieje się coś, co zakłóca Twą przenajszczęśliwszą monotonię. Oto w trakcie rytualnej konserwacji trybików stajesz przed lustrem i widzisz... no właśnie, co widzisz? Czy siebie, czy może CZŁOWIEKA, który nie jest Naj, który nigdy nie była Naj, i który nawet nie ma takich ambicji. Człowieka o nie powleczonej ustawowo woskiem twarzy, na której wymalowano cynoberową farbą promienny uśmiech. Człowieka, który zamiast rozgłaszać wszem wobec jak bardzo jest happy, ma na tyle odwagi, by buchnąć płaczem, człowieka, który kocha i nienawidzi, bo ma serce, tak, serce bijące w rytm Bachowskiej „Arii na strunie G”. Czy on Ci kogoś nie przypomina?



Lustro – genialny wynalazek. Genialny w swej prostocie – szklana tafla powleczone cienką warstwą srebra, nic więcej. A jaką ma moc: pokazuje wszystko: „co się komu w duszy gra, co kto w swoich widzi snach”. Pokazuje nas takimi, jacy jesteśmy, a nie takimi, jakimi chcemy być, każdą naszą niedoskonałość, każdą krostę, każdą fałdę. I zdaje się nam mówić: pamiętaj, nie jesteś ani

piękniejszy, ani brzydszy niż jesteś naprawdę, jesteś, jaki jesteś i inny nie będziesz”. Owszem, zawsze można stłuc lustro, tylko że wtedy będzie jeszcze gorzej – wówczas zobaczysz w srebrnej tafli nie jednego człowieczka, ale wielu malutkich, smutnych ludzików, a każdy z nich będzie do Ciebie krzychał: „memento”.

ROZMAWIAŁ: WOJCIECH BRYDA

STUDIA IDĄ NAM ŚPIEWAJĄCO!

Mateusz jest tenorem, Adrian barytonem – stoją po dwóch stronach chóru. Łączy ich studiowanie na MISH oraz śpiewanie w chórze KUL. Dlaczego wybrali chór i jak się w nim odnajdują?

Jak rozpoczęła się wasza przygoda związana ze śpiewaniem w chórze?

Adrian Zbiciak: Moja przygoda rozpoczęła się na pierwszym roku studiów. Wcześniej śpiewałem w scholach, na akademiach. Już w drugiej klasie liceum usłyszałem po raz pierwszy o chórze KUL. Znalazłem w Internecie dwa piękne utwory w ich wykonaniu: „Laetatus sum” Gorczyckiego i „Te Deum” Mozarta i zakochałem się w nich.. Jedną z pierwszych czynności, których dokonałem po przyjęciu na KUL było dowiedzenie się, kiedy odbywają się przesłuchania.

Mateusz Gołoś: Odkąd jestem studentem, ciągle mam do czynienia muzyką. Nawet teraz trzymam w ręku nuty... Wcześniej nie byłem w żadnym chórze. Zaśpiewałem tylko na jednej akademii – „Wznies serce nad zło” Rynkowskiego, ale stwierdziłem, że to nie w moim stylu. O muzyce myślałem nadal. Wiedziałem, że jeśli nie zacznę śpiewać na studiach, to już nigdy to się nie stanie. Na rozpoczęciu roku akademickiego profesor Gutowski zachęcał do aktywności w różnych organizacjach – w tym w chórze. I wtedy Adrian zawołał: „Tak, chodźcie do chóru. Tam jest wspaniale!”. W poniedziałek były przesłuchania. Poszedłem. W sobotę śpiewałem już na jakimś koncercie.

To zastanawiające, że przyjęli was mimo braku doświadczenia.

M.G.: Nie, to nie zastanawia. Jesteśmy najlepsimi! <śmiech>

A.Z.: Tutaj nie chodzi o doświadczenie. Tylko

o tempo, w jakim się człowiek uczy. Na przykład Mateusz bardzo szybko nauczył się czytać nuty. Ja natomiast miałem problem na początku – musiałem poświęcić na początku sporo czasu na opanowanie podstaw. Właściwie wszystkiego, co dziś umiem w związku ze śpiewaniem nauczyłem się tutaj w chórze.

M.G.: Wydaje mi się, że moja sympatia do matematyki, mimo że jestem na MISHu, pomaga mi w śpiewaniu – dzięki niej szybko czytam nuty, bo harmonia to przecież nic innego jak matematyka – tylko stosowana.

Ile czasu zajmują Wam próby chóru KUL?

A.Z.: Dość dużo.

M.G.: Teoretycznie „tylko” 4 godziny tygodniowo.

A.Z.: Tak. Z tym, że zwykle próby to nie wszystko. Są jeszcze dodatkowe próby przed koncertami i konsultacje, szczególnie dla nieznających nut.

A jak często są koncerty chóru?

M.G.: Zależy, co nazwiemy koncertem. Koncertem można nazwać występ podczas wręczenia doktoratu honoris causa, a koncertem można też nazwać występ w katedrze w Kolonii lub choćby w kościele oo. Dominikanów na Starym Mieście, który mieliśmy niedawno.

A.Z.: Kilkadzieś (do 30) razy do roku gdzieś się pojawiajemy.

Dlaczego śpiewacie w chórze?

M.G.: Ja śpiewam, bo jestem... masochistą.

A.Z.: Śpiewanie boli?

M.G.: Gdy śpiewam, przeżywam psychiczny ból. Wcześniej muzyką klasyczną mało się interesowałem, a odkąd zacząłem śpiewać, słucham tylko takiej muzyki. Gdy opracowujemy nowy utwór, odkrywam jego prawdziwe piękno i mam wrażenie, że nie dorastam do niego, że można dać więcej z siebie, że ta muzyka zasługuje na więcej, ale ja mam na razie tylko tyle umiejętności. To jest bardziej takie rozgoryczenie niż ból.

A.Z.: A mnie smuci, że nie miałem okazji, by rozwijać się muzycznie, pójść do szkoły muzycznej, a jeśli miałem taką szansę, to jej nie wykorzystałem. Na pewno nie śpiewam wyłącznie dla rozwoju. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że będzie on aż tak widoczny – w ciągu trzech lat naprawdę wiele się nauczyłem. Oczywiście, są ludzie, którzy przychodzą do chóru tylko po to, by jeździć za darmo po świecie. Przychodząc z takim nastawieniem, bardzo szybko rezygnują, jeśli nie zostaną zaangażowani do wyjazdu, bo w pierwszej kolejności wybierani są doświadczeni chórzysci.

M.G.: I dobrze, bo zostają ci, którym zależy na śpiewaniu.

A.Z.: Chór to nie tylko wyjazdy. Wyjazd jest często tylko raz w roku, a przygotowania wymagają wielu wysiłków i systematyczności.

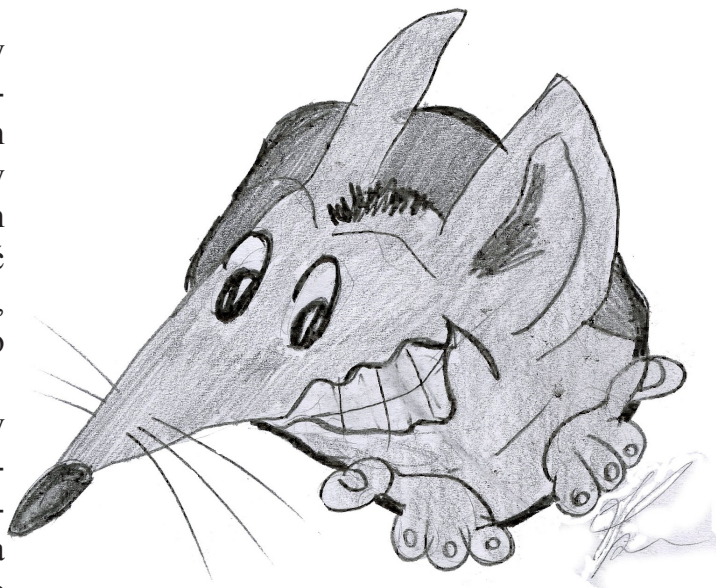
W jakim stopniu śpiewanie to kwestia talentu a w jakim kwestia pracy? Czy można nadrobić brak talentu ciężką długą pracą?

M.G.: Osób, które w ogóle nie potrafią śpiewać jest bardzo niewiele. Oczywiście, talent gra tutaj rolę, ale większość to kwestia ćwiczeń. Im wcześniej się zacznie, tym łatwiej jest później.

A.Z.: Jasne, że osoba, która zupełnie nie radzi sobie ze śpiewaniem i z muzyką nie ma nic wspólnego, w chorze kulowskim sobie nie poradzi.

M.G.: Nasz chór jest pomiędzy chórami amatorskimi a profesjonalnymi, stąd też wymagany jest jakiś próg umiejętności. Ale jeśli chodzi o śpiewanie w ogóle, to jak najbardziej można i trzeba próbować!

Ile osób liczy chór? Do kiedy można w nim śpiewać?



A.Z.: Około 50 osób

M.G.: Teoretycznie dopóki jest się studentem, ale w praktyce nie ma takich ograniczeń. Są ludzie, którzy śpiewają w chorze dużo dłużej. Ponadto mamy niezwykłego dyrygenta, który swoją ekspresją naprowadza nas na właściwy tor. Ostatnio, podczas koncertu u Dominikanów mieliśmy utwór, w którym po kolei wchodziły poszczególne głosy. I akurat w moim głosie byłem tylko ja i mój kolega. Dyrygent obawiał się, że żaden z tych głosów nie wejdzie odpowiednio na głoskę „u”. Kiedy mi i Łukaszowi się udało, dyrygent zrobił taką minę, że mało brakowało, a wybuchnąłbym śmiechem... Śpiew w chorze daje mi naprawdę wiele radości.

A.Z.: Jeśli zostanę na KULu, to będę nadal śpiewał w chorze.

M.G.: Ja również. To chórzysci wprowadzili mnie w uczelnię. Na początku, przez pół pierwszego roku, spędzałem z nimi najwięcej czasu. Próby chóru odbywały się w czasie mishowych zajęć, więc ze swojego roku nikogo nie znałem. A w chorze poznałem świetnych ludzi. Ciągłe poznaję. Wciąż spędzam najwięcej czasu z nimi.

A.Z.: W chorze rodzą się przyjaźnie, miłości. Każda grupa powinna opierać się także na innych relacjach niż, powiedzmy, zawodowe, a w tym przypadku muzyczne.

M.G.: Chór uczy nas współpracy, wspierania siebie nawzajem i polegania na sobie.

Jaki macie kontakt z publicznością?

M.G.: Mamy takie powiedzenie w chorze: „Co

się nie dośpiewa, to się do-wygląda”. Muzyki się słucha, ale na muzykę też się patrzy. Jak chcę tylko posłuchać muzyki, to sobie kupuję płytę, czekam aż wyjdą współlokatorzy i wtedy... Jak słucham jakiejś płyty z muzyką, to szukam filmików z jej nagrania na youtube. Bo chcę zobaczyć muzykę. Chcę zobaczyć, jak ona powstaje. Śpiew przekazuje wiele emocji, ale wiele można też wyczytać z człowieka...

A.Z.: ...mimika, zaangażowanie. To widać, czy ktoś śpiewa od niechcenia, czy z zaangażowaniem. Widownia ma mocny wpływ na chór. Kiedy widownia jest znudzona, to opada entuzjazm i nie chce się już śpiewać. Byliśmy w Mexico City i mieliśmy koncert dla Polonii. Wielu słuchaczy, słysząc polskie pieśni ludowe, wzruszyło się. Parę lat temu była też taka sytuacja: chór był ponad miesiąc na tournée w USA i Kanadzie. Na jednym z ostatnich koncertów nawet chórzysci czuli już tęsknotę za ojczyzną. Podczas śpiewania Poloneza Ogińskiego, zarówno widownia jak i niektórzy chórzysci zapłakali.

M.G.: Gdy pojechaliśmy do Niemiec, po którymś z koncertów zaczęliśmy śpiewać w restauracji utwory „z innej beczki” – pieśni ludowe. Niemcy, którzy tam byli, nie wiedzieli, co się dzieje, a potem sami mieli łzy w oczach, chociaż nie rozumieli ani słowa. Wtedy zrozumiałem, co to znaczy, że muzyka, nawet prosta, może być rzewna.

Jakie są osiągnięcia chóru?

A.Z.: Myślę, że trudno byłoby wymienić wszystkie nagrody i wyróżnienia... Na przykład w październiku 2008 r. nagraliśmy płytę z Mszą Maksymiliana Koperskiego, zapomnianego polskiego kompozytora, którego dzieła zostały odnalezione na Jasnej Górze i opracowane przez naszego dyrygenta. Płyta nominowana była do Fryderyków. Jako jedyny chór akademicki z Polski braliśmy udział w Światowym Festiwalu Chórów w Puebli w Meksyku... Jestem przekonany, że to nie jest ostatnie tego typu wyróżnienie.

Jak muzyka poważna jest odbierana przez młodych? Czy spotykacie się ze znudzeniem?

M.G.: Wydaje mi się, że coraz więcej młodych

ludzi słucha muzyki poważnej. Kiedy tak stoimy podczas koncertów na podwyższeniu, to widzimy, że wśród słuchaczy jest coraz więcej młodych. Poza tym często spotykam się z zainteresowaniem ludzi nt. chóru, kiedy o nim wspominam. O dziwo, reakcje są bardzo pozytywne!

A.Z.: Wydaje mi się, że moglibyśmy poszerzyć trochę repertuar. Przecież muzyka chóralna to nie tylko muzyka kościelna, utwory ludowe, itp. Z drugiej strony jednak nasz chór specjalizuje się w muzyce kościelnej i z jej wykonania słynie.

M.G.: Dlaczego mielibyśmy to zmieniać?

Udaje wam się pogodzić zajęcia z chórem?

A.Z.: Ja układałam swój plan pod próby chóru.

M.G.: Ja też. A jak się zajęcia nakładają w czasie, to zaczynają się rozszady. Ogólnie wykładowcy są bardzo przychylni.

A.Z.: Zwłaszcza, że prowadzący zajęcia często uczestniczą w uroczystościach i widzą nasze zaangażowanie i jego owoce.

Starcza wam sił, by śpiewać gdzieś jeszcze?

M.G.: Tak, śpiewam też w chórze duszpasterstwa w kościele oo. Dominikanów. A dodatkowo uczestniczę od samego początku w bardzo ciekawej inicjatywie o nazwie „Bractwo”. Jest to chór złożony z samych mężczyzn. Wykonujemy muzykę bizantyjską, korsykańską, grecką – praktycznie nieznaną tutaj. Korzystamy przy tym z zupełnie innego zapisu „nutowego”. To tak jak czytanie różnych alfabetów.

A: Czasami śpiewamy także w innych chórach, jeśli zostaniemy o to poproszeni. Ostatnio np. w chórze lubelskiego Teatru Muzycznego podczas wykonania Requiem Mozarta w Chełmie.

Jak należy dbać o swoje gardło?

M.G.: Nie pić herbaty.

A.Z.: Nie należy jeść czekolad. W czasie koncertu lepiej być niedojedzonym niż przejedzonym.

M.G.: Dobrze robi miód.

A.Z.: Łyzeczka masła.

M.G. Zresztą, każdy ma swój sposób i na każdego działa co innego.

Dziękuję za rozmowę.

DORADZAJĄ: JOLANTA PROCHOWICZ I BARTŁOMIEJ SZYMKOWIAK



Drogi studencie!

Przeczytałam z uwagą Twój list. Rozumiem zdezorientowanie. Ogłoszenie, które przeczytałeś na drzwiach tego typu miejsca, musi dziwić. Jednakże zwróć uwagę na pozytywny aspekt, jaki ta akcja niesie. Jest oczywiste, że uczelnia troszczy się o Twój wszechstronny rozwój, stąd ten, na pozór, osobliwy anons. Nasza Alma Mater zadbała, aby nie ominęła Cię ta niecodzienna szansa, jaką jest Erasmus. Ten program wymiany studentów daje niesamowite możliwości poznania specyfiki studiów w innych krajach Unii Europejskiej (i nie tylko!), zawarcia ciekawych znajomości, pozbycia się powszechnie obowiązujących, krzywdzących stereotypów. Jest to program, który pozwoli Ci na rozwój kariery naukowej i umożliwi wspólną pracę badawczą ze studentami, którzy będą na te same problemy patrzeć z innej perspektywy. Czyż to nie wspaniałe?

Jeśli masz wątpliwości, czy poradzisz sobie z trybem studiowania, w którym językiem wykładowym będzie język obcy, moja odpowiedź brzmi: Tak! Na pewno sobie poradzisz! Poprzez ciągły kontakt ze studentami mówiącymi w innym języku bardzo szybko udoskonalisz swoje umiejętności lingwistyczne. Co więcej, poznasz inną kulturę, tradycję, styl życia. To na pewno będzie dla Ciebie ekscytujące doświadczenie.

Myszę(no co ty?-przyp. Bartka), że nie muszę Cię już dłużej namawiać. Program Erasmus jest niezwykłą szansą i mogącym przynieść ogromną satysfakcję wyzwaniem. Nie wahaj się, odmień swoje życie! APLIKUJ już w przyszłym roku akademickim!

Już niedługo znowu zobaczymy między innymi takie (zdj. obok) reklamy zachęcające do składania aplikacji na program wymiany międzynarodowej dla studentów - ERASMUS.

Zaaferowany ogłoszeniem student, przysłał do naszej redakcji list z pytaniem, czy warto się zgłaszać na ERASMUSA oraz zdjęcie.

Nasi redaktorzy postarali się udzielić mu porad w tej kwestii.



Jola

Człowieku!



Nie słuchaj tej, pozał się Boże, idealistki. Dla niej świat jest dobry, poukładany, uczciwy i w ogóle "cacy". Fakt, że znalazłeś ogłoszenie zachęcające do aplikacji na Erasmusa w takim, a nie innym miejscu, świadczy tylko i wyłącznie o jednym: Erasmus nie jest Ciebie wart! Jolanta przedstawiła w swej naiwności...tfu...odpowiedzi, idylliczny obraz wymiany studentów. Że niby jakieś rozwoju naukowe – gdzie tam! Każdy średnio rozgarnięty człek wie, że na Erasmusa jedzie się tylko z jednego powodu – imprez! Cała ta wymiana ogranicza się do półrocznej nieustającej zabawy! Nie mówię, że to złe. Wręcz przeciwnie, mnie to bardzo odpowiada, ale skoro piszesz do naszego szanownego pisma, chcę (a raczej muszę) wierzyć w to, że pragniesz się jednak rozwinąć naukowo i intelektualnie. Na Erasmusie jest o to trudno! Poza tym nie wierz tak bardzo Joli, że się dostaniesz i studiowanie w obcym języku jest błahostką, że Twoja znajomość języka obcego na pewno wystarczy. Zanim się dostaniesz tam gdzie chcesz (czyli np. do gorącej Barcelony, a nie do miejsca, gdzie diabeł mówi "dobranoc"), musisz przejść przez rozmowę (nie będę wspominał o teście pisemnym) kwalifikacyjną. A i tak nawet wtedy nie możesz być pewien wyjazdu, bo na najpopularniejsze uniwersytety chce się dostać więcej osób, niż tylko ty (no, nie dołuj go już bardziej!- przyp. Joli). Pamiętaj też o aspekcie finansowym, bo wyjechać można, ale musisz za coś żyć w tym Rzymie, Oksfordzie, Barcelonie czy innym mieście. Oczywiście dostaniesz jakieś stypendium, ale nie łudź się, że dzięki niemu przeżyjesz cały miesiąc ucząc się i bawiąc. Tak naprawdę to ledwo starczy Ci na akademik (o ile będziesz mógł w nim zamieszkać, co też nie jest wcale takie oczywiste- ileż to już historii się nasłuchałem o koczowaniu na dworcu czy pod uczelnią). Tak więc, jeśli chcesz to próbuj, ale lekko nie będzie (Jola każe mi skończyć, ale jak chcesz naprawdę wiedzieć więcej, to podaj e-mail, odpiszę ;)).

Bartek

MATEUSZ GOŁOŚ

ETYKA WYSTARCZY

Przypadło mi napisać słów kilka o fałszu. Zamówiono tekst z polotem. Styl ma być lekki, żebym nikogo nie zanudził. Słowa mają być proste, żebym nie został oskarżony o epatowanie, wątpliwą skądinąd, elokwencją. Oczekuje się tematu ze wszech miar ogólnego. Dość już tekstów, których nikt nie rozumie! Półki gną się od książek pełnych nikomu nie potrzebnych wywodów! Niech nam zatem przyniesie wyzwolenie tekst krótki, przejrzysty, zrozumiały! Zatem, Waść, zaczynaj czym prędzej i wstydu dalszych wstępów oszczędź.

Ostatnie dni upływają mi pod znakiem mojej pracy rocznej. Piszac o odpowiedzialności naukowca za prowadzone badania, chcąc nie chcąc dotykam zagadnień etyki. Etyki, co tu dużo będę gadał, szczególnej, bo przecież dotyczącej nauki. Wertowanie kolejnych stron przynosi póki co jeden widoczny efekt – etyczny zawrót głowy. Swoisty zbiór reguł etycznych, który niemalże wszyscy autorzy szumnie określają etosem, wprawiając się przy tym w pewien rodzaj etycznej ekstazy, nie podlega wielu dyskusjom. Wyłania się taki oto jego obraz.

Uczony jest pewnym typem nadczłowieka, autonomicznym podmiotem poznającym Nic sobie nie robi z uwag psychologów, jakoby jego postępowanie było czymś uwarunkowane. Szuka prawdy. Och, jak on jej szuka! Nawet poddany nieludzkim torturom przyzna, że jest ona ową *adaequatio rei et intellectus*. W procesie badawczym naukowiec idzie za wskazaniem odpowiedniej metody. Podąża krok w krok i niech mu nawet przez myśl nie przejdzie, by zbaczal z tej drogi! Naukowiec ceni przede wszystkim czystą. Naukę czystą. A to, że ktoś wpadnie na pomysł aplikacji jego wyników? No cóż, nie ma on wpływu na decyzję nie pojmujących natury rzeczywistości maluczkich tego świata. Dla świata jest mędrce, dla swych uczniów zaś mistrzem, panem folwarku, który prowadzi młodego adepta przez niebezpieczny (choć zawsze pełen harmonii!) świat nauki, by go potem wyzwolić na magistra i doktora.

Pojawiają się jednak burzyciele ładu, przeciwnicy – jak mawia klasyk. Być może istnieją – jak to delikatnie próbują sugerować – także wartości... „pozapoznawcze” w nauce. Tak! Tak je nazwijmy! Ładnie się komponuje taka nazwa.



Mamy zatem wartości estetyczne i metodologiczno-porządkowe (czyli robienie na siłę nauki z czegoś, co nią nie jest), psychiczne (czyli wygodnictwo, pewność siebie, święty spokój) oraz, uwaga, charyzmatyczno-transcendentalne (czyli angażuję tego, bo to syn profesora z sąsiedniej katedry). Naukowiec jednak, to pewne, norm etycznych przestrzega. Myśli sobie: Nie mogę szukać..., bo przestanę nie czytać i cytować. Nie mogę nie cytować innych..., bo uznają mnie za ignoranta. Nie mogę eliminować zdolniejszych..., bo oskarżą mnie o nieuczciwą walkę. Podążam za etosem naukowca, Szanowni Państwo, lubię się na niego od czasu do czasu powołać. Bo gdy, nie daj Boże, ktoś się wychyli, to w imię etosu mogę go potępić. Ogromne potępienie spotka oszustów! Bo oparcie się na ich wynikach może mnie skompromitować... A póki mnie ich oszustwo nie dotyczy, to są tylko niegroźnymi pseudo-naukowcami. Piękny jest ten etos naukowca! Raz, dwa i po krzyku – odchylenie zlikwidowane. Kocham o etyce mówić, marząc o powrocie starych dobrych czasów, gdy uczeni kantów nie robili. Dziś tak naprawdę wszyscy wiedzą, że o swoje dbać trzeba. Nie należy przeszkadzać i utrudniać tym, którzy się bardzo starają, ale im nie wychodzi, bo warunki przecież ciężkie.

Recenzuj pracę i myśl, że jutro jej autor może recenzować twoją lub decydować o ważnych dla ciebie sprawach. Jeśli mimo to podążysz za etosem (yes, yes, yes!) nauki to wytkniesz wszystkie słabości pracy i zaproponujesz jej odrzucenie. Tu jednak przechodzimy z etyki na heroizm. I to heroizm nie lada! Heroizm lotów najwyższych!

Bój się Boga – etyka wystarczy...

OPRACOWAŁA: KATARZYNA ŚWIEGOT

GUSTAVE MUIS

Gustave Muis (1852-1912) był jedynym synem francuskiej guwernantki i holenderskiego kupca, urodził się jednak w Anglii. Zachowane listy i inne dokumenty świadczą o tym, że państwo Muis stanowili rodzinę wręcz idealną. Ich szczęście zostało jednak przerwane śmiercią matki młodego Gustave’a. Chłopiec miał wówczas dziesięć lat. Z trudem zaakceptował decyzję ojca o przeprowadzce do jego rodzinnego miasta, Hagi. Nie uważał się za Holendra, nie czuł się także związany z ojczyzną matki. Zawsze podkreślał swoją miłość do Anglii, do której też wrócił przy pierwszej sposobności. Pod koniec życia napisał, że za Hagą tęskni tylko ze względu na możliwość bycia z ojcem, którego bardzo kochał i odwiedzania pobliskiego Delft, gdzie – jak twierdził – wciąż panuje nastrój obrazów Vermeera.

W młodości nie przejawiał zainteresowania sztuką. Poświęcił się studiom lingwistycznym (sprzyjało temu jego wychowanie: każde z rodziców mówiło do niego we własnym języku, szkoła zaś wymagała znajomości trzeciego, angielskiego) i badaniem literatury brytyjskiej. Szczególnie upodobał sobie dramaty Szekspira. Ogromną część swojego życia poświęcił porównywaniu przeróżnych tekstów, które uczyniły go specjalistą w zakresie teatru elżbietańskiego. Posiadłszy gruntowną wiedzę na ten temat, Muis postanowił oddać Szekspirowi hołd poprzez własną twórczość. W wyniku braku jakichkolwiek uzdolnień poetyckich, jego wybór padł na malarstwo.

Tworzyć zaczął późno, bo dopiero w wieku pięćdziesięciu lat, toteż pozostawił po sobie zaledwie kilkanaście obrazów, tekę szkiców i jeden miedzioryt, o którym później. W dziełach artysty widoczna jest fascynacja dramaturgiem ze Stratford, ale daje się także dostrzec dążenie do prostoty, wyciszenia i zadumy, tak charakterystycznych dla dzieł mistrza z Delft.

Legenda głosi, że Gustave Muis (po przestudiowaniu wszelkich pism, które mogły mieć związek z Szekspirem, Baconem i Marlowe’em) jako jedyny człowiek wiedział, kto naprawdę

napisał dramaty Szekspira, albo – jak niektórzy wolą formułować ten problem – kim był Szekspir. Tajemnicę tę jednak Muis zabrał ze sobą do grobu. Zmarł tragicznie, przygnieciony sztalugą, na której powstawał jego ostatni, monumentalny obraz, przedstawiający scenę zbiorową ze *Snu nocy letniej*.

Prezentowany przez nas na okładce miedzioryt, znany wielu odbiorcom jako *Mysi Hamlet*, jest niewątpliwie jednym z najciekawszych dzieł powstałych w pracowni Muisa. Nosi on zagadkowy nieco tytuł *To be or not to be a mouse*, który staje się bardziej zrozumiały, gdy uświadomimy sobie, że nazwisko malarza oznacza mysz. Mężczyzna stojący przed lustrem to zapewne sam artysta. Nie zachowała się żadna inna jego podobizna, ale znaleziony w archiwach policyjnych w Hadze rysopis pozwala uznać to przypuszczenie za prawidłowe. Nie jest to *sensu stricto* autoportret (w chwili jego powstawania Muis miał już pięćdziesiąt trzy lata), ale raczej swego rodzaju „portret artysty z czasów młodości”. Wizerunek ów oddaje w pełni dramatyczne rozdarcie, jakie było udziałem Gustave’a przez całe jego życie, jego poczucie zagubienia czy też nieposiadania w ogóle jasno określonej tożsamości. Mimo poczucia przynależności do kultury brytyjskiej, Muis nigdy nie zdołał oczyścić swojego życia z wpływów holenderskich. Przejawiały się one nie tylko w drobnych codziennych nawykach, ale także w zamiłowaniu do surowej prostoty, za którą cenił malarstwo niderlandzkie. O ile jednak deklarował przywiązanie do owej prostoty, o tyle we własnej twórczości często od niej odchodził, zamieszczając w swoich dziełach elementy nadmiernie je teatralizujące, które często uniemożliwiały zrozumienie pierwotnego zamysłu twórcy. Ta mimowolna teatralizacja to kolejny przykład jego niemożności oderwania się od dwoistych korzeni brytyjsko-holenderskich. Przejmujące pytanie o to, kim właściwie jest i gdzie jest jego miejsce, było najistotniejszym problemem tego naukowca i artysty, Proteusza przełomu wieków.

*Redaktor naczelny: Klaudia Krupa, Z-ca redaktora naczelnego: Wojciech Bryda, Korekta: Agnieszka Pyczek, Ilustracje: Karolina Pindor; Skład i łamanie: Wojciech Bryda, Sekretarz: Karolina Malecka, Kontakt z czytelnikami: Jolanta Prochowicz
e-mail: myszliciel@wp.pl
Druk: „Bestprint” S.C. Wydawnictwo Drukarnia Sławomir Cioć*

Lublin, 2010